

Świątek Dziecięcy



№ 34.

Bezpłatny dodatek do „Przyjaciela Dzieci.”

Rok 1911.

Jak jaskółki uczyły swe dzieci.

Przyleciała z wiosną para jaskółek, ulepiała sobie gniazdo pod strzechą.

Praca to była nielada... Trzeba było znosić w pyszczku grudki ziemi i błota, ździebełka słomy, okruszyny drzewa— i to wszystko własną śliną zlepić razem.

Nameczyły się też ptaki porządnie.

Alż zato gniazdo stanęło co się zowie.

— Na parę lat nam starczy— pisała samiczka.



Niedługo w gniazdku zaświegotąły pisklęta.

— Może i na dłużej—odpowiedział samczyk.

— Jenó boję się, żeby nam gniazdko wróble nie zabrały, skoro odlecimy na zimę.

— To i co, choćby zabrały? Wypędzimy je!... A od czego dzioby?

— Tak, tak. Zresztą jeżeli sami nie damy rady—to cały naród jaskółczy nam pomoże...

Niedługo w gniazdku zabieliły się jajka, niedługo w gniazdku zaświegotały pisklęta.

Byłaż znowu praca z wykarmieniem drobiazgu. Rodzice znosili tuzinami owady, boć jaskółki nic innego nie jedzą.

I płynął czas, dzieci rosły.

Pewnego dnia rozbudziła się rodzina jaskółek. Mama, tatuś i piskląt gromadka.

— Pi! pi! pi! pi! — wołają na całe gardło.

A to w języku wszystkich ptaków znaczy: Jeść! jeść! jeść!

No, ale co dać temu drobiazgowi, kiedy owadów niema.

Dzień mglisty, deszcz raz po raz przepada, wszystkie muchy, komary, motyle, ważki—cały świat owadów pozaszywał się w różne kąty i czeka na pogodę.

A ptaki tymczasem z głodu mrą.

Dopiero po południu przepogodziło się nieco, błysnęło słońce.

Oj, jak śmignęły jaskółki z gniazda, jak śmignęły? Ledwo je dojrzeć można było, tak szybko uganiały się za owadami.

Na drugi dzień pogoda była cudna.

— Trzeba dziś zacząć naukę dzieci — powiada ojciec do matki.— Podrosły już, jedzenia nastarczyć im nie można, niech same próbują szukać.

Najpierw nauczono dzieci fruwać, potem przysła kolej na naukę chwytania owadów. Trzyma mateńka w dziobku pióro bieluchne, pokazuje je dzieciom... Oddaliła się trochę, upuszcza piórko... aż oto tatuś nadlatuje... chwytą zdobycz... I znowu ją upuszcza i znowu samiczka upaść jej nie daje...

Śliczna zabawa! Dzieci patrzą i próbują naśladować rodziców. Myślą pewnie, że to co do zjedzenia.

Przekonały się jednak, że tego zjeść nie można, więc odlatują zawiedzione.

Ale oto rodzice przynoszą trzepoczącego się motyla. Biedaczek! daremnie wyrwać się próbuje.

Po motylu dzieci chwytają muchy i tak dalej, aż do najdrobniejszych owadów.

— Słuchajcie—powiada ma-

ma-jaskółka do dziatwy — już teraz możecie sami polować, a najwięcej owadów znajdziecie nad wodą. Ja nie mam czasu zajmować się wami dłużej, bo zaraz zacznę składać nawiwo jajka.

Tak też i zrobiła.

W końcu sierpnia liczna gromada jaskółek odleciała za morze.

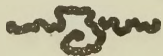
Irena G.



Dzień grzecznego dziecka.

Ósma rano, wstawać pora!
Dość się spało od wieczora!
O dziewiątej do książeczki
Idą chłopcy i dziewczeczki.
O dwunastej — już zabawa!
Gra w piłeczkę dziatwa żwawa.
Druga — obiad już na stole.
Po obiedzie dalej w pole!
Czwarta — dosyć śpiewu, grania;
Proszę znowu do czytania.
Piąta — kawa, a po kawie
Dzień się kończy na zabawie;
Przyjdzie ósma — do pacierzy!
I już dziatwa w łóżku leży.

Or-ot.



JADWIGA CHRZĄSZCZEWSKA.

Czy była winna?

(Dokończenie).

Jedną ręką Ania trzyma się skały, drugą podaje siostrzyczce.

— Cicho, Marylko, cicho, widzisz, jestem z tobą.

A maleńka uszczęśliwiona, myśli, że niebezpieczeństwo już minęło i wybuchą wesołym śmiechem.

— Nie kręć się, Marylko, nie kręć się! — błaga Ania.

Rozumie ona doskonale, że niebezpieczeństwo wcale nie minęło, że lada chwila sukienka Marylki przerwać się może, a ona wtedy nie utrzyma dziecka.

Mimo wszelkich wysiłków nie utrzyma... Obawia się też wołać niani, bo nuż mama usłyszy i przestraszy się. Ona taka jeszcze słaba!

Wszystkie te myśli jak błyskawica przenikają przez główkę Ani. Co tu robić? Boże! Boże!

Wtem słyszy głos znajomy ponad sobą:

— Dzieci, dzieci!... Nie ruszajcie się! Dzieci!

Stara, pomarszczona twarz niani chyli się nad niemi, z oczu

łzy płyną. Obok stróż Antoni owiwiązuje się sznurem.

— Zaraz, zaraz spuszczę się do was—mówi.

Uwiązał sznur wokoło drzewa, ześlizguje się po nim zręcznie na dół... już jest przy dzieciach.

— Pierwej Marylka! Pierwej Marylka!—woła Ania.

Ale Antoni obiedwie dziewczynki, jak dwa małe kociaki, odrazu zabiera ze sobą.

Po chwili już są w ramionach niani.

— Usłyszałam was! Chwała Bogu, że na czas zdążyłam! Chwała Bogu!—powtarza.

— A mamusia?

— Nie wie nic. Śpi. Ach, Aniu, patrz, sukienka Marylki ledwo się na obrąbku trzyma. Gdybyś nie była podtrzymała siostrzyczki, byłaby spadła z pewnością. Dobra, dobra Ania.

I całuje ją pieści.

Ania jednak pieścoci i pochwał nie przyjmuje.

Kręci główką i powtarza:

— To moja wina, tylko moja. Nie powinnam była zasnąć, nie powinnam...

A wy jak myślicie, czy Ania była winna?

POMOC.

Kazik już od lat trzech był w Warszawie w szkołach. Uczył się doskonale, rodzice nacieszyli się nim nie mogli, matka zwłaszcza chwaliła się swym pieścociem przed wszystkimi. A on nie był dumny wcale ze swej nauki, w domu zawsze różne ciekawe rzeczy opowiadał swej siostrzyczce Felci i bawił się z nią chętnie. Najwięcej jednak garnął się do towarzyszy lat dziecięcych, którzy zamiast nad książką spędzali młode lata na pastwisku lub na roli.

Kazik zaraz po przyjeździe na lato do domu biegł witać swych przyjaciół, małych wieśniaków, rozpytywał się ciekawie o wszystko, co się zdarzyło we wsi w czasie jego nieobecności i nawzajem opowiadał o swoim życiu w mieście.

Siostrę dziwiła ta jego zażyłość z innymi chłopcami, może trochę i drażniło to, że Kazik wciąż był w polu rzekła mu więc:

— Nie rozumiem, jak możesz znajdować przyjemność w towarzystwie tych prostaków?

Kaziowi przykro się zrobiło i odparł żywo:

— Przecież oni nie gorsi odemnie, może nawet lepsi, a że



nie uczą się tak, jak ja, to nie ich wina. Los nieszczęśliwy nie dał im środków po temu. Nie mam więc z czego wynosić się nad nich, przeciwnie nawet, powinienem im pomagać, czem mogę.

Słowa te widocznie wzbudziły w nim jakieś nowe myśli, bo się zadumał głęboko.

— Jednak ja im mogę dopomóc — szepnął.

Skoczył do swojej szuflady z książkami, wybrał dwie i wybiegł z domu.

Na łące, za cmentarzem, więcej pastuszkowie krowy paśli; bydła skubały spokojnie trawę, a dzieci goniły się po łące.

Do nich to Kazik podążył ze swemi książkami i po serdecznem powitaniu siadł i dopytywał się, co porabiają na pastwisku, jak im czas schodzi?

— A no cóż, bawimy się.

Więc im mówić zaczął o sobie, jak to on w mieście ciągle jest zajęty, cały dzień nad książkami siedzi i tyle się z nich pięknych rzeczy dowiaduje.

— Jeśli chcecie — zakończył wreszcie — to was nauczę choć trochę z tego, co sam umiem,



Kazik opowiadał ciekawe rzeczy swej siostrzyczce.

mam teraz wolny czas, a i wy na pastwisku macie go dość.

Niektóre z dzieci leniwe i do żadnej pracy nieskore wyśmiały go i odbiegły, ale inne dziękowały mu za jego ofiarę. Zaraz Kazik otworzył książkę i począł czytać:

„Sławna powieść o tych czasach,
Co minęły, przeszły dawno,
Pokazał im na obrazku
Takich mężów i rycerzy,
Aż im w główki naszło blasku,
Aż serduszko im uderzy!”

Odtąd Kazik codziennie przychodził na pastwisko, czytał dzieciom ciekawe i pouczające historie; prócz tego uczył je rozpoznawać litery w elementarzu. Gdy wyjeżdżał do miasta kilkoro dzieci czytało już płynnie, postanowił więc sobie przysłać im kilka książek... i postanowienia dotrzymał.

Bronisława Włodkówna.



O strasznym zbroju i Krzysiu sierocie.

BAJKA.

Dawno to już, przed latami, był okrutny wielce człek, co żył jeno rozbojami, a nazywał się Hans Weg.

Raz go spotkał Krzys sierota, co choć malec, był już zuch, aż tu nagle Hans niecnota przez plecy go kijem buch!...

Krzys się wzburzył, bo był zuchem.

— Jak mnie waszeć tykać śmiesz!

A ten krzyknie mu nad uchem:

— Kto ja jestem!... czy ty wiesz?... Pan i władca dróg i lasów, najślawniejszy w świecie zbroj, więc bez żadnych wykrętasów zaraz włącz mi w worek mój!

Widzi Krzys, że trudna rada, płacząc wchodzi w Hansa wór, ten na plecy go zakłada, mrużąc

idzie w gęsty bór. A Krzys w worku, w pół skulony wylewa gorące łzy.

Aż pod wieczór Hans zmęczony przyszedł pod oberżę drzwi, worek swój na ziemi składa.

— Wstąpię tu na jeden łyktak do Krzysia on powiada; i powracam zaraz w mig.

Krzys w swym worku w głos zawodzi...

Pasterz owiec słyszał to, więc do karczmy drzwi podchodzi, maca worek...

— A tam kto?

— Ja to jestem, Krzys sierota, co go porwał srogi zbroj, jeśliś ludzka jest istota, rozwiąż worek, zbawco mój.

— Ja mam kozik wyostrzony, worek nim rozpruję sam, choćby w wodę był rzucony, radę sobie przecie dam, bo i pływam, jako ryba, chętnie więc zastąpię was, lecz zostaniesz Krzysiu chyba przy mych owcach przez ten czas.

Krzyś wnet z worka wyska-
kuje.

— Niechaj Bóg nagrodzi cię!

I pasterza w wór pakuje,
sam czempredziej w pole mknie.

Hans, wypiwszy cztery czar-
ki miodu, co z przed laty stu,
garniec piwa, szklankę starki,
ma jedynie chęć do snu. Nadto
jakieś mdłości czuje, więc gdy
wszedł na pierwszy most, wo-
rek z ramion swych zdejmuje
i czempredziej—w wodę szast!

Idzie dalej—sen go morzy
i wypita wódka mgli, a wtem
oczy swe otworzy jak najsze-
rzej... Czyż on śni?... Widzi
Krzysia postać bladą, co ku nie-
mu prosto mknie i przed sobą
pędzi stado i coś drwiąco śmie-
je się...

— Ha, tyś sądził, żeś mnie
zgubił, rzucając na rzeki dno!...
tam król wodny mnie polubił,
podarował stado to!

— No, no, drogie moje dzie-
cie—mówi Hans, a drży mu głos
ze wściekłości—widzisz przecie,
żeś mi winien świetny los, więc
podobną też przysługą odpląć
mi, ot, proszę cię; na most dro-
gę masz niedługą prędko w wor-
ku rzuć tam mnie.

— Ha, załatwię to z ochotą—
rzekł przebiegle mądry Krzyś.

— Chłopcze, serce masz, jak
złoto!

— No, no, żywo w worek leź!

Związał worek; nie uciecze
postrach lasów, dróg i gór! I nie
niesie, ale wlecze po kamieniach
ciężki wór, przytem prawi:

— Żeś był taki tu dla wszyst-
kich, jak zły duch, zjedzą ryby
cię i raki!...

I do wody Hansa buch!

Marya Bogusławska.

MARYA KACZKOWSKA.

WĘDROWNI ŚPIEWACY.

KOMEDYJKA W JEDNYM AKCIE.

Pani Dobrzycka. Dzięku-
jemy wam, Jankielku i Ruchlo.
Skądże ty mały tak śpiewać
umiesz? Kto was nauczył tych
wszystkich wierszy?

Ruchla. Mnie nauczył mój
brat—Jankielek.

Pani Dobrzycka. Usiądź-
cie sobie, boście zmęczeni. Ró-
ziu, daj im krzeselka. A skąd-
że ty mały tyle śpiewek umiesz?

Jankiel. Nie wiem. To tak
z głowy. Jak ja śpię, to słyszę
takie melodye, och, jakie melo-
dye, a jak się obudzę, to mi
w uszach gra różnie. Raz smut-
no (*śpiewa przeciągłe*). Lachty-
deryde ryde de! To znów we-
soło (*śpiewa prędko*). Lachtyde-
ryde, lachtyderyde ryde de! To

znów niby trąby grają—tru-tru-tru! To bębny—bum-bum bum! a fujarka dyle-dyle, dzium-dziumdziu-dziu! Czasem, gdy wiatr wieje, to słyszę, jakby żałośnie śpiewał (*śpiewa smutno*) li-li li-de-de!

Pani Dobrzycka. Mój Jankielku, widzę, że ty masz zdolności do muzyki.

Jankiel (*smutno*). O, gdybym miał za co, to kupiłbym se takie szczypce; nasz sąsiad Lejzor ma śliczne (*cmoka ustami*) cy-mes szczypce! On na nich wygrywa takie różne śliczności. Czasem on mi pozwoli wziąć ten piękny instrument do ręki. Gdybym ja miał takie szczypce, tobym grał, grał... Ach, już znam wszystkie nuty, wiem co A, a co G, która struna na cienko gra, a która basem!... (*zapalając się*). Szczypce—to mój świat, to moje złoto!

Pani Dobrzycka. A dużo kosztują też takie skrzypce, jakie ma twój sąsiad Lejzor?

Jankiel. O, dużo.. aż pięć rubli! (*ze smutkiem*). A kiedy ja będę miał pięć rubli. Dopiero mam dwa złote i siedem groszy.

Staś (*na stronie do matki*). Wujaszek na imieniny przysłał mi trzy ruble, gdybyś, mamó, po-

zwoliła, dałbym je biednemu Jankielkowi na kupno upragnionych skrzypiec. Jakże byłby szczęśliwy!

(*Dok. nast.*)

ODPOWIEDZI

„Światka Dziecięcego.”

Zosi Zaniew. A widzisz, Zosieńko, jak to dobrze nie zrażać się trudnościami. No i dostałaś nagrodę, chociaż, jak piszesz, nie spodziewałaś się jej wcale. „Mierz siłę na zamiary, nie zamiar według sił!”—powiedział nasz wielki poeta. Pomyśl nad temi słowami, kochanie. Pytasz, kiedy dojrzą orzechy laskowe i kiedy będą grzyby? Orzechy już dojrzały, a grzybów niema, bo dokuczala ziemi susza, lecz niechno tylko pópadają deszcze, to grzyby wysuną łebki z ziemi. Czy lubisz chodzić na grzyby? Czy czytałaś opis grzybobrania w „Panu Tadeuszu”? Jeżeli nie, to przeczytaj.

Frankowi Zalew. Na to nieszczęście niema lekarstwa; kiedy się gałęź fikusa odtamała zupełnie, to już przywiązanie nie pomoże. Nie przyrośnie. Ale fikus nową gałązkę wypuści, więc nie masz czego się martwić.

Władkowi Wiśniewskiemu. Pytasz, skąd pochodzi nazwa ul. Muranów. Zaraz ci to objaśnię. Pierwszym właścicielem tej miejscowości, naturalnie bardzo dawno temu, był Józef Belloti, rodem z Murano, jednej z wysepek Wenecyi. „Murano“ była pierwotna nazwa tej ulicy; z czasem zmieniono ją na „Muranów“.